Nr 198. Kraków, Czwartek 31 Sierpnia 1905. Rok XXIV.

NOWA REFORMA

„Nowa Reforma“ wychodzi codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt uroczystych.

Prenumerata wynosi:

	rocznie:	półrocznie:	kwartalnie:	miesięcznie:
W miejscu	24 koron	12 koron	6 koron	2 korony
W Austro-Węgr. z przesyłką poczt.	32 „	16 „	8 „	2 kor. 70 h.
W Państwie Niemieckiem	36 „	18 „	9 „	3 .—
We Włoszech, Francyi, Anglii, Belgii, Szwajcaryi, Turcyi i inn. krajach	48 „	24 „	12 „	4 .—

Prenumeratę i ogłoszenia (inseraty) uprasza się nadsyłać wprost do Administracyi „N. Reformy“ w Krakowie.
Listów nieopłaconych nie przyjmuje ani Administracya, ani Redakcya.
Adres Redakcyi i Administracyi: Kraków, ul. Jagiellońska 10.
Telefon Redakcyi i Administracyi Nr 41. — Nr rach. poczt. Kasy oszczęd. 857.484.
Rękopisów nadsyłanych Redakcya nie zwraca.
We Lwowie sprzedaż numerów po 12 hl.: w Biurze dzienników A. Olszewskiego, ulica Kilińskiego 2 i w Biurze Plohna, ulica Karola Ludw. 9.
Cena numeru 10 hal., z przesyłką pocztową 12 hal.

Prenumeratę przyjmują:
zamiejscową: Administracya „Nowej Reformy“ i wszystkie urzędy pocztowe, **miejscową:** administracya „Nowej Reformy“. — Główna trafika w Rynku. — Agencya J. Hopcase i A. Salomonowej, plac Maryacki 2. — Handel St. Karlińskiego, Sukiennice. — Handel Kretschmera, Rynek. — Handel J. Ekiera, ul. Karmelicka 18.
Zamiejscową prenumeratę i ogłoszenia (inseraty) przyjmują: **We Lwowie** Biuro dzienników: Ludwik Plohn, ul. Karola Ludwika 11, S. Sokołowski, Pasaż Hausmana 9. — W **Przemyślu** Heszeles. — W **Jarosławiu** A. Amster. — W **Wiedniu**: Hermann Goldschmied (sprzedaż pojedynczych numerów), I Wollzeile 6. — M. Dukes Nachf., Haasenstein & Vogler (także w Hamburgu, Frankfurcie n. M., Berlinie, Lipsku, Bazylei i Wrocławiu). — A. Oppelik. — R. Mosse (także w Berlinie Hamburgu, Monachium i Norymberdze). — H. Schalek (Wollzeile). — W **Paryżu** Société Mutuelle de Publicité A. Lorette, directeur, Rue Caumartin 61.
Ogłoszenia (inseraty) przyjmuje Administracya „Nowej Reformy“ za opłatą od miejsca wiersza drobnem pismem (petit) za pierwszy raz 20 h., za każdy następny raz po 10 h. — **Nadesłane** po 60 h od wiersza za każdy raz. — **Głosy publiczne** po 2 kor. od wiersza. Układ tabelaryczny, cyfrowy, skomplikowany pierwszy raz 40 h, następny po 10 h. od wiersza. — Załączniki do „N. Reformy“ (prospekty, cyrkularze, ogłoszenia itp.) przyjmuje się za cenę 2 kor. od 100 egz. dla zamiejscowych, a 1 kor. od 100 egz. dla miejscowych prenumeratorów.

Celem uregulowania nakładu

prosimy o

wczesne nadesłanie prenumeraty.

Wynosi ona miesięcznie:
W Krakowie **2** korony.
W Austro-Węgrzech **2** korony **70** hal.
Bliższe szczegóły w nagłówku dziennika.

Nowi prenumeratorzy, zarówno miejscowi, jak zamiejscowi, otrzymają bezpłatnie początek wychodzącej w felietonie naszym powieści Reymonta p. t.:

„Chłopi“

oraz początek zamieszczanej w tygodniowym dodatku powieści Bolesławity p. t.: **„Przed burzą“**.

Pokój!

Pokój zawarty! Oto najnowsza wiadomość z Portsmouth. Spełniło się więc, cośmy wczoraj przewidywali. Lecz i pod innym względem ziściły się nasze przypuszczenia. Zawarcie pokoju stało się możliwe jedynie na podstawie nadzwyczajnych ustępstw Japonii.

Rząd japoński zadowolił się zrealizowaniem warunków swoich co do Korei, Portu Artura, półwyspu Liaotung, Mandżuryi i wschodniochińskich kolei żelaznych, dalej uzyskaniem południowej części wyspy Sachalin. Już poprzednio odstąpił był od warunku, dotyczącego wydania im internowanych w portach neutralnych rosyjskich okrętów wojennych i ograniczenia rosyjskiej siły zbrojnej na wschodzie Azyi — teraz zaś, jak donoszą z Portsmouth, zrzekł się także w całości żądanego odszkodowania pieniężnego. Delegaci japońscy zrezygnowali z tego warunku na wyraźny rozkaz mikada, który otrzymali w ciągu dnia wczorajszego.

Na wczorajszej konferencyi Witte przedłożył im ultimatum Rosyi, oznajmiające, że rząd carski pod żadnym warunkiem i w żadnej formie nie zapłaci wymaganej kontrybucyi wojennej. Delegaci japońscy ultimatum to przyjęli. Witte po konferencyi oświadczyć miał, że jest zdumiony osiągniętym sukcesem, którego się nie spodziewał.

Nie ulega wątpliwości, że to jego zdumienie podzielać będzie znaczna część opinii publicznej w Europie i za oceanami. Wprawdzie już w chwili rozpoczęcia rokowań pokojowych ze strony japońskiej twierdzono, że rząd mikada zadziwi świat umiarkowaniem swoich żądań. Gdy atoli ogłoszono warunki pokojowe, owo „umiarkowanie“ do nich odnoszono, gdyż rzeczywiście nie były one zbyt wygórowane wobec ogromnych sukcesów Japonii na polu walki i wobec olbrzymich wysiłków, jakie państwo to zmuszone było podjąć na tę wojnę. Nie przypuszczano wówczas jeszcze, że i te warunki doznają w końcu tak znacznego obniżenia, że usunięty z nich zostanie najważniejszy niemal, mający wrócić Japonii poniesione ofiary pieniężne.

Później, gdy Rosya tak stanowczo odrzucała właśnie ten warunek, powstało mniemanie, że długie targi obustronne doprowadzą może do zmniejszenia kwoty odszkodowania, do nadania jej innej formy, innego tytułu, lecz z możliwością zupełnego jej skreślenia z żądań japońskich w wielu kołach politycznych nie liczono się wcale. — Jeszcze przecież onegdajsze depesze donosiły, że delegaci japońscy żądają stanowczo 3 miliardów koron. A prasa japońska bez wyjątku niemal to właśnie żądanie stawiała jako „conditio sine qua non“.

Cóż więc mogło spowodować ten nagły zwrot w postanowieniach rządu mikada, co mogło skłonić Japonię do tak olbrzymiego ustępstwa?

Co do nas, to już w artykule wstępnym nr. 193 pisma naszego zwróciliśmy uwagę na pogłoski, jakoby kilka mocarstw wywierało nacisk na Japonię — na korzyść Rosyi. Artykuł ten zakończyliśmy zdaniem: „Sympatye narodów europejskich nie zdołają ochronić Japonii od tego, że otrzyma mniej, niż otrzymać pragnie; realne względy polityki europejskiej ochronią natomiast carat od upokorzenia, na które zasługiwałby najzupełniej.“

Fakt dokonany w Portsmouth zdaje się w zupełności potwierdzać to nasze zdanie.

Jakie i czyje wpływy zaważyły na szali w tym wypadku — o tem dowiemy się zapewne później. To dziś już za pewnik uważać można, że były one silne a nawet potężne. Wielbiciele Japonii przypisywać będą zapewne to jej ustępstwo szlachetności i wspaniałomyślności rządzących kół japońskich; ostrożniejsi w swoich przypuszczeniach głównego motywu ustępstwa dopatrywać się będą w zamiarze rządu japońskiego pozyskania sobie w większej jeszcze mierze podziwu i sympatyi narodów rasy białej. Możliwą jest rzeczą, że jedno i drugie mniemanie nie jest zupełnie bezpodstawne. Wyłącznie atoli tego rodzaju względy nie mogły rozstrzygnąć kwestyi, która dotyczyła tak poważnej rzeczy, jaką jest dla państwa nowoczesnego posiadania lub nieposiadania 3 miliardów koron!

Na uwagę zasługuje doniesienie jednego z dzienników niemieckich, jakoby Japonii dano wolną rękę w dochodzeniu odszkodowania za koszta wojny — na Chinach. Kombinacya taka ma pewne cechy prawdopodobieństwa, na razie jednakże usuwa się z pod refleksyi wobec zupełnego braku autentycznych danych.

Cóż więcej pozostaje na wyjaśnienie tego nadzwyczajnego ustępstwa Japonii? Chyba to tylko, że poczuła się ona już wyczerpaną, że wobec tego obawiała się możliwości niekorzystnego dla siebie zwrotu w dalszych szansach wojny. Lecz przeciwko temu przemawia fakt, że kredyt Japonii w Ameryce i Europie raczej się wzmagał niż zmniejszał, że cały naród japoński okazywał jeszcze gotowość i ochotę do dalszych wojennych zapasów, że i wojennego materyału ludzkiego nie brakowało tam jeszcze. Opinia publiczna w Japonii do ostatniej chwili domagała się należytego wyzyskania zwycięstw nawet na wypadek, gdyby to doprowadzić miało do zerwania układów. A już wieści o zamierzonych ustępstwach rządu wywołały tam ogólne oburzenie. Dziś donoszą, że na wieść tę prasa japońska żywo zaprotestowała przeciwko dalszym koncesyom, że ostro gani rząd za jego słabość, że część organów grozi wprost rządowi zaciętą opozycyą, a nawet rewolucyą w kraju. Groźb tych na razie nie można brać zbyt tragicznie. Znaczenie i powaga mikada w Japonii jest jeszcze zbyt wielka, iżby jego decyzya, sprzeczna z pragnieniami narodu, mogła tam wywołać groźniejsze następstwa. Lecz te głosy opinii publicznej w Japonii dowodzą w każdym razie, że naród japoński nie czuł się jeszcze wyczerpanym tak dalece, iżby koniecznie pragnął pokoju.

A zatem — jedynie obce wpływy zaważyć tu mogły na szali. Tym wpływom zawdzięcza Rosya, że uniknie większego jeszcze upokorzenia, że uniknie ciężaru finansowego, który mógł zachwiać na dobre jej materyalnemi podstawami.

* * *

Wojna w każdym razie skończona. Na polach mandżurskich dziś już może nastąpiło zawieszenie broni. Walka, która olbrzymiemi rozmiarami swemi i liczbą ofiar, jakie pochłonęła, zalicza się do największych i najkrwawszych w dziejach ludzkości, należy już do przeszłości. Zapisze się ona w dziejach, jako ogromnie ważny etap, może nawet jako punkt zwrotny w rozwoju ludzkości

Na wschodzie Azyi powstało nagle nowe mocarstwo, mocarstwo rasy żółtej, którego głos odtąd doniośle rozbrzmiewać będzie w ogólno światowej polityce. Bo chociaż pozbawiona części owoców wojny, Japonia będzie odtąd niezmiernie ważnym czynnikiem na arenie politycznej. Nie uzyskała ona wszystkiego, lecz uzyskała bardzo dużo. Zyskała znaczne rozszerzenie swoich granic, dominujący wpływ na stosunki azyatyckie, a przedewszystkiem ogromną moralną powagę i prawo obywatelstwa w świecie cywilizowanym.

A Rosya? Dla Rosyi wojna ta przyniosła moralne i materyalne bankructwo zasady absolutyzmu, stała się ogniową próbą, przez którą musiał przejść naród rosyjski, jeśli miał się wczas podnieść i wydobyć z tylowiekowego zastoju, z moralnej zgnilizny, w której gnuśniał i marniał. Interes państw europejskich ocalił jeszcze Rosyę carską od zupełnego może upadku, lecz nie ocali on jej od dalszych wewnętrznych przewrotów. Przewroty te dopiero teraz dokonywać się będą z większą intenzywnością i siłą. — Morzem krwi swoich synów przypłacić musiał naród rosyjski tę ogniową próbę — lecz przyszłe jego pokolenia zapewne błogosławić będą tę wojnę, która i dla innych narodów będzie może zwiastunką lepszej doli.

Ustąpienie Maksymowicza.

Z Warszawy nadchodzi drogą urzędową wiadomość, że generał-gubernator Królestwa generał Maksymowicz zwolniony został z zajmowanego stanowiska.

Wiadomość tę ludność Królestwa a wraz z nią całe społeczeństwo polskie przyjmie z zadowoleniem. Rządy Maksymowicza w Polsce kongresowej krótkie, bo zaledwie kilkomiesięczne, boleśnie i krwawo dały się we znaki społeczeństwu polskiemu. Ogromna jego większość przyjęła jego nominacyę zupełnie obojętnie, pewne nadzieje przywięzywały do jego osoby tylko te koła, które w nieuleczalnym optymizmie każdą zmianę na wybitnych stanowiskach rządowych witają z ufnością i wierzą jeszcze w dobrą wolę rządowych kół petersburskich. Działalność nowego generał-gubernatora zawiodła i te nadzieje. Pozostał on na tem stanowisku tylko tem, czem był poprzednio: atamanem kozaków, generałem-czynownikiem. Nie chciał lub nie umiał zrozumieć duszy narodu, nad którego znaczną częścią sprawować miał rządy, nie rozumiał jego pragnień i dążności, nie uznawał jego praw ani słuszności jego żądań.

W zarządzeniach Maksymowicza nie można było dostrzedz ani jednej myśli wznioślejszej, świadczącej, że posiadał sztukę rządzenia. Rządził według utartego szablonu biurokracyi, nie uwzględniając w niczem zmiany stosunków i prądów. Na wszelkie odruchy gnębionej ludności miał tylko jednę odpowiedź: gwałt i siłę — a ten system rządowy przypieczętował wreszcie ogłoszeniem stanu wojennego w Warszawie, dla którego sam niebacznem stanowiskiem grunt przygotował. Nie dziw też, że pod jego rządami jeden wybuch gwałtowny następował po drugim, że anarchia w Królestwie wzmagała się z dnia na dzień. Gdy więc teraz, poznawszy swoją nieudolność i bezsilność, ustępuje z zajmowanego stanowiska, ludność Królestwa ogarnie pewne zadowolenie. Lecz zadowolenie to może być tylko przejściowe i względne, ponieważ niema widoków, iżby stosunki w Królestwie mogły się pod jego następcą ułożyć pomyślniej.

Jako następcę tego wymienia depesza z Warszawy dotychczasowego jego pomocnika generała Skałłona. Jest to figura równie nieznana, jak nieznanym był Maksymowicz, wybrana z wielkiego zastępu przeciętnych wykonawców woli carskiej. Czy można się po nim spodziewać nowej myśli, nowego kierunku w rządach?

Nawet w takiej chwili wśród ogólnego przełomu rząd carski nie zdobywa się wobec Królestwa na krok wyraźniejszy, na zamianowanie na tak ważne stanowisko człowieka ze znanem imieniem lub znaną przeszłością, z której wnosićby można, co czeka dziesięciomilionową ludność tego kraju.

Gdyby carowi szczerze zależało na uspokojeniu Polski, na okazaniu jej cienia bodaj życzliwości, powinienby wyznaczyć zwierzchnika rządu, którego nazwisko dawałoby już pewne rękojmie zmiany stosunków na lepsze. Tymczasem znów zjawia się „homo novus“ — figura nieznana, z której przyszłą działalnością trudno lepsze wiązać nadzieje. Ufności do nowego generał-gubernatora rząd carski zatem chyba wymagać nie może od społeczeństwa w Królestwie. Rządy jego będą zapewne tylko dalszym ciągiem dotychczasowego, słusznie znienawidzonego systemu.

Z Litwy.

Wilno, 25 sierpnia.

(Szanse Polaków przy wyborach do Dumy państwowej. — Wypowiedzenie się programowe różnych partyj. — Duch odrębności Litwy)

A więc mamy „konstytucyę!“ Mało tego. Kiedy bowiem bracia nasi w Królestwie muszą jeszcze oczekiwać wyników prac komisyi Solskiego, my, jako zaliczeni do „rdzennej“ Rosyi, ujrzymy naszych posłów w Dumie państwowej już w styczniu. Zaiste możemy być dumni z tego, że nie postawiono Litwy na równi z plemionami koczującemi!

Z pomiędzy sześciu gubernij litewsko-białoruskich witebska i kowieńska mają wysyłać po 6 posłów, reszta zaś po 7. Razem więc kraj nasz będzie miał 30 posłów w „Dumie“. Jaka część mandatów poselskich przypadnie w udziale Polakom, trudno na razie powiedzieć. Będzie to zależało przedewszystkiem od sposobu, w jaki władze będą te wybory przeprowadzały, a następnie od takich okoliczności, jak większe lub mniejsze ograniczenia, stosowane względem żydów. Najsłabiej przedstawiają się szanse Polaków w Mohylewszczyźnie, gdzie własność ziemska, pozostająca w ręku Polaków, stanowi zaledwie 33%. W gubernii witebskiej jest o mało lepiej. Natomiast w guberniach wileńskiej, kowieńskiej i grodzieńskiej oraz mińskiej wybór całego szeregu Polaków jest zapewniony. Niewątpliwym jest też wybór włościan litewskich w Kowieńskiem.

Zanim jednak przyjdzie do wyborów, działające na gruncie litewskim partye rewolucyjne spieszą zaznaczyć swoje stanowisko w sprawie „Dumy“ Bułyginowskiej i podkreślić hasła, pod któremi prowadzi się walka. Charakterystyczną jest jednozgodność odezwań się wszystkich partyj socyalistycznych, działających na Litwie, w sprawie żądań politycznych na dziś dla naszego kraju. Jeśli pominiemy „Bund“, organizacyę pod względem politycznym czysto-rosyjską, obcą najzupełniej interesom kraju jako odrębnej całości, to spostrzeżemy tę jednozgodność dążeń tak samo u P. P. S., jak u litewskiej partyi socyalno-demokratycznej, jak i u „Białoruskiej socyalistycznej Hromady“.

Mam właśnie przed sobą odezwy wszystkich tych trzech organizacyj, rozrzucane wśród mas robotniczych na Litwie i Białej Rusi. Centralny komitet P. P. S. wydał specyalną odezwę, poświęconą Dumie Bułyginowskiej. W odezwie tej znajduje się ustęp taki: „Lud roboczy w kraju naszym nie uspokoi się, **póki w Wilnie nie stanie własna nasza konstytuanta**, wybrana przez powszechne, równe, bezpośrednie i tajne głosowanie, która nada krajowi naszemu ustrój demokratyczny i zapewni nam zupełną samodzielność polityczną“. Oprócz tego P. P. S., która z powodzeniem konkuruje (przynajmniej tu w Wilnie, w Grodnie i w Białymstoku) z „Bundem“ w pracy agitacyjnej i organizacyjnej wśród proletaryatu żydowskiego, wydała odezwę w żargonie, tłomaczącą żydom, że i oni powinni zsolidaryzować się z robotnikami chrześcijańskimi w dążeniu do konstytuanty w Wilnie.

Podobnież przemawia Litewska partya socyalno-demokratyczna. Cytuję tu ustęp z odezwy jej komitetu wileńskiego: „Jest tylko jedna droga pewnych zdobyczy dla robotników — zburzyć rząd carski i oddać kierowanie sprawami kraju w ręce przedstawicieli ludu. Gdy po zdobyciu swobody politycznej sami wybierzemy powszechnem, równem, tajnem i bezpośredniem głosowaniem bez różnicy narodowości, wyznania i płci naszych deputowanych **do sejmu w Wilnie**, wówczas będziemy pewni wygranej. Taki sejm drogą wydanych praw dla naszego kraju, Litwy, przeniesie ciężar podatków z ubogich warstw ludności na bogate, prawem skróci dzień roboczy, wyznaczy najmniejszą płacę, zrobi oświatę dla wszystkich dostępną i dobrą i da robotnikom prawo swobodnie i przez to pomyślnie walczyć z wyzyskiwaczami“. Wkońcu odezwa nawołuje do walki o „zdobycie samorządnej demokratycznej Litwy z sejmem w Wilnie“.

Selma Lagerlöf.

Kurhan mocarza.

Przekład Jadwigi Przybyszewskiej.

Było to w tej porze roku, w której wrzos kwitnie. Na piaszczystym pagórku rósł on gęsto rozkrzewiony. Na niskich, drzewiastych pieńkach wznosiły się krzepko osadzone, zielone gałązki, pokryte, jak igły twardym i mocnym liściem i drobnem, późno opadającem kwieciem. Zdają się one nie z soczystej, roślinnej tkaniny, ale raczej z suchej, twardej łuski być złożone. Niepozorny jest ich kształt i wielkość, a zapach nieszczególny. Jak i dzieci otwartej polany nie rozwijały się, odsłonięte od wiatru, jak lilie, gdy swe kielicy otwierają; i także nie w bujnej, bogatej glebie, z której róże czerpią soki do swych pęczniejących koron. To, co czyni wrzos kwiatem, to właściwie tylko barwa; w lśniącej czerwieni rosły na pagórku. Barw użyczających promieni słońca miały poddostatkiem. Nie były blademi piwnicznemi roślinami, ani też lubiącym cień piecuchem. Błogosławiona radość, siła i zdrowie biło od całej kwitnącej polany.

Wrzos pokrywał cały jałowy ugar swoim czerwonym płaszczem, aż do krańców lasu. Tam wznosiło się na łagodnem wzgórzu kilka prastarych, nawpół zapadłych kurhanów; a jakże tkliwie usiłował je wrzos także otulić; były tam jednak wyżej rysy, przez które przezierały duże, płaskie skalne łomy, strzępy surowej odzieży gór.

Pod największym kurhanem spoczywał jakiś prastary król, Atle zwany. Pod innemi drzemali ci z jego rycerzy, którzy polegli w wielkiej bitwie, tam na przełęczy stoczonej. I spoczywali tu już tak długo, że strach i groza śmierci z grobów ich uleciały i droga prowadziła poprzez miejsca ich spoczynku. Samotnemu, nocnemu wędrowcowi nie przychodziło nigdy na myśl oglądnąć się, jakkolwiek o północy, na wierzchu kurhanu siedziały w mgły owite postacie i w milczącej tęsknocie spoglądały ku gwiazdom.

Był to błyszczący poranek, pełen rosy i słonecznego ciepła.

Strzelec, który od świtu polował, rzucił się na wrzos u stóp kurhanu króla Atle. Leżał na wznak i spał. Kapelusz nasunął na oczy, a skórzana torba myśliwska, z której wyglądały zajęcze uszy i połamane pióra ogona bażanta, leżała pod jego głową. Strzały i łuk miał tuż obok siebie.

Z lasu wyszła dziewczyna z węzełkiem strawy w ręku. Skoro weszła na płaskie skalne złomy między kurhanami, przyszło jej na myśl: jakie to doskonałe miejsce do tańca — i zaraz nabrała ochoty wypróbować je. Cisnęła węzełek we wrzos i rozpoczęła samiuteńka tańczyć. Nie wiedziała nic o tem, że pod kurhanem króla jakiś człowiek leży i śpi.

Strzelec ciągle jeszcze spał. Paląco czerwony wznosił się wrzos ku ciemno-błękitnemu niebu Mrówkolew wyrzucił swój kopiec tuż obok śpiącego. Leżał tam kawałek miki i tak się iskrzył, jakby wszystkie stare rżyska piaszczystego pagórka rozpalić chciał.

Nad głową strzelca rozpościerały się, jak wachlarz, pióra bażanta, a metaliczne ich barwy połyskiwały od najgłębszej purpury do błękitu stali. Nie ocienioną część jego twarzy palił rozżarzony promień słoneczny, ale on nie otwierał oczu, by patrzeć na piękność poranku.

Podczas tego dziewczyna ciągle tańczyła i okręcała się z takim zapałem, że zczerniałe kawałki mchowej ziemi, która się w nierównościach płyt nagromadziła, wirowały wokół niej. Jakiś stary, suchy korzeń sosny, nagi i szary, leżał wyrwany na wrzosie. Porwała go i okręcała się z nim razem. Wióry odrywały się ze spróchniałego drzewa. Stonogi i szczypawki, które gnieździły się w jego szparach, w zawrotach tańca wypadały na światło i ukrywały się w korzeniach wrzosu. Kiedy fruwające spódnice muskały murawę, wylatywały stamtąd chmary malutkich, szarych motylków. Odwrotna strona ich skrzydełek była biała i błyszczała, jak srebro; wirowały one tu i tam, jak zeschłe liście wśród burzy. Były teraz zupełnie białe i zdawało się, jakby to czerwone morze wrzosu białą piana pryskało. Motylki tylko krótką chwilkę unosiły się w powietrzu. Ich delikatne skrzydełka drżały tak silnie, że zabarwiający je pył oddzielał się i jako lekki, srebrno-biały puch, opadał na wrzos. I zdawało się, jakby w powietrzu mżyła błyszcząca, słoneczna rosa.

Naokoło we wrzosach siedziały świerszcze i trąc swoje tylne nóżki o skrzydła, wydawały dźwięk harfy. Trzymały doskonale takt i były tak zgrane, że każdy, kto przez polanę przechodził, był przekonanym, że jednego i tego samego świerszcza podczas całej drogi słyszy, chociaż raz słyszał go z prawej, to znowu z lewej strony, już to przed sobą, już to za sobą.

Ale tańcząca nie była zadowolona z ich gry, lecz po chwili sama rozpoczęła do tańca sobie przyśpiewywać głosem przenikliwym i ostrym. Śpiew ten obudził strzelca. Obrócił się, podparł na łokciu i spojrzał poprzez kurhany na nią, tańczącą.

Śnił właśnie, że ten zając, którego sam ubił, wyskoczył z torby i chwycił jego własne strzały, aby w niego godzić. Teraz obudzony, patrzył tam na dół na dziewczynę zaspany i snem jeszcze odurzony; a głowa paliła go od słońca.

Dziewczyna była duża i ciężka; niepiękna z wejrzenia i nielekka w tańcu, niewdzięcznym też był jej śpiew. Miała szerokie policzki, grube wargi i płaski nos. Bardzo czerwona na twarzy, bardzo ciemnowłosa, rozłożysta i mocna w każdym ruchu. Odzież jej była uboga, ale jaskrawa. Czerwony szlak opasywał pasiatą spódnicę, a ząbkami z kolorowej włóczki obszyty był gorset. Inne dziewczęta podobne są do róż lub lilij. Ta była, jak wrzos: mocna, wesoła i jaskrawa.

Z rozkoszą patrzył strzelec na dużą, wspaniałą kobietę, tańczącą na łące wśród świerkających koników polnych i fruwających motyli. A kiedy tak się jej przyglądał, roześmiał się od ucha do ucha. Ale w tejże chwili nagle ujrzała go i stanęła jak wryta.

— Myślisz zapewne, żem oszalała — zagadnęła pierwsza. Równocześnie usiłowała go nakłonić, aby zamilczał o tem, co widział. Nie chciała, aby opowiadano sobie po wsi, że tańczyła ze starym korzeniem sosny.

Ale on ciężki w mowie, ani jednej sylaby z ust nie wypuścił. Był przytem tak lękliwy, że nie widział nic lepszego do roboty, jak uciec, chociaż chętnie byłby pozostał. Spiesznie nasunął na głowę kapelusz, torbę myśliwską zarzucił na plecy, potem pomknął pomiędzy wrzosem porosłemi pagórkami.

Dziewczyna chwyciła węzełek strawy i pospieszyła za nim. On był mały, niezgrabny i wątły. Wkrótce więc dogoniła go i zrzuciła mu kapelusz, aby go tem zmusić do zatrzymania się. Co prawda, miał on wielką ochotę pozostać, ale był już zupełnie nieprzytomny z lęku i uciekał z większym jeszcze pośpiechem. Dziewczyna pogoniła dalej za nim i poczęła targać jego torbę. Wtedy musiał się zatrzymać, aby bronić torby. Dziewczyna wpadła na niego z całych sił. Borykali się chwilę i dziewczyna powaliła go na ziemię. „Teraz już nikomu nie opowie“, myślała uszczęśliwiona.

W tej samej jednak chwili bardzo się przelękła, bo ten którego na ziemię powaliła, leżał zupełnie blady i przewracał oczyma. Na szczęście nie skaleczył się. Było to tylko wzruszenie, którego nie mógł znieść. Nigdy przedtem nie doznał ten samotny mieszkaniec lasu tylu sprzecznych, silnych wrażeń. Widok dziewczyny przepełniał go radością i gniewem zarazem, lękał się jej i był z niej dumny, że jest tak mocną. Jednem słowem wszystko to razem zupełnie go oszołomiło.

Duża, mocna dziewczyna położyła ramię pod jego plecy i podniosła go. Ułamała wrzosu i uderzała sztywnemi gałązkami po jego twarzy tak długo, aż krew szybciej krążyć poczęła.

Kiedy jego małe oczy otworzyły się znowu na światło dzienne, błyszczały radośnie na widok dziewczyny. Ciągle milczał, ale rękę, która ogarnęła jego ciało, przysunął do siebie i łagodnie głaskał.

Był on dzieckiem głodu i doczesnego trudu. Suchy i żółto-blady, chudy i bezkrwisty. Wzruszyło ją to, że jest tak nierozwinięty on, który musiał już mieć trzydziestkę. Pomyślała, że pewnie samiuteńki jeden w lesie żyć musi, kiedy tak mizernie i źle był odziany. Nie miał napewno nikogo, ktoby o niego dbał, ani matki, ani siostry lub kochanki.

. . . .

Wielki, miłościwy bór rozpościerał się nad pustym krajem. Ukrywał i ochraniał on na swojem łonie wszystko, co tylko pomocy u niego szukało. Wysokiemi pniami stał na straży nor niedźwiedzia, a w mroku gęstych zarośli piastował jajami napełnione gniazda małych ptasząt.

W czasie pańszczyzny, wielu ludzi uciekało przed nią do boru i znajdowało schronienie w jego zielonych murach. Stawał się on dla nich wielkiem więzieniem, którego nie odważali się opuszczać. Bór utrzymywał tych więźniów w surowej karności. Zmuszał najwięcej tępych do myślenia i w tych w niewolnictwie upadłych, rozbudzał zamiłowanie ładu i prawości. Tak skrzętnych obdarzał łaską życia.

Tych dwoje, którzy się na polance spotkali byli dziećmi takich więźniów boru. Schodzili oni czasem do zabudowanych, zamieszkałych dolin, bo nie obawiali się już przymusowego powrotu do pańszczyzny, od której uciekli ich przodkowie; ale najmilej było im błądzić wśród cieniów boru. Strzelec nazywał się Tönne. Jego właściwem rzemiosłem było użyźniać ziemię, ale znał się i na innych rzeczach. Zbierał chrust, gotował smołę, suszył gębki i polował. Ta, która tańczyła, nazywała się Jofrid. Ojciec jej był węglarzem. Wiązała miotły, zbierała ziarna jałowcu i przyrządzała piwo z biało kwitnącego na bagnie ziela.

Oboje byli bardzo biedni.

Poprzednio nie spotykali się nigdy w tym wielkim lesie, ale teraz zdawało im się, że wszystkie drogi leśne zbiegają się w jedną sieć, w której oni, dni tam błądząc, ominąć się nie mogą.

Nie wiedzieli już, jakąby obrać ścieżkę, na którejby się nie spotkali. (Dok. nast.)

„Białoruska socyalistyczna Hromada" w odezwie do chłopów mówi: „Obecny rząd należy zrzucić i postarać się, aby sami rządzili ludzie z wyboru z każdej wsi czy gminy, którzyby dobrze rozumieli, czego potrzeba narodowi. Ci ludzie wybrani z całej ziemi białoruskiej powinni zbierać się w jakiemś mieście, n. p. w **Wilnie**, gdzie będą radzić, na jakie potrzeby narodu mają iść pieniądze, jakie ustanawiać podatki, jakie wydawać prawa i t. d. Taki zjazd nazywa się **sejmem**".

A więc wszystkie te trzy partye godzą się na gruncie żądania sejmu ustawodawczego (jak P. P. S.), lub autonomicznie-prawodawczego w Wilnie. Charakterystycznem jest, że żądanie to, podnoszone przez partye socyalno-rewolucyjne, harmonizuje najzupełniej z programowemi dążnościami n i e socyalistycznych grup polskich, działających na gruncie tutejszym. Oto n. p. program „klubu irredentystów", reprezentowanego na kwietniowym zjeździe polsko-rosyjskim w Moskwie, głosi: „...Litwa utworzy odrębną całość autonomiczną, której ustrój wewnętrzny ustanowiony zostanie na sejmie w Wilnie, złożonym z przedstawicieli, wybranych na zasadzie równego, powszechnego, bezpośredniego i tajnego głosowania. Ustrój wewnętrzny Litwy winien być oparty na zasadach demokratycznych, zapewniających równe prawa wszystkim obywatelom bez różnicy narodowości, wyznania, stanu i płci i zabezpieczających interesa mas pracujących w ich walce z uciskiem obecnych warunków ekonomicznych". Zupełnie tak samo przemawia i „Klub rzemieślników wileńskich" w swoim programie.

Ta jednozgodność całej lewicy żywiołów, prowadzących działalność polityczną na Litwie, świadczy o głębokiem zakorzenieniu się poczucia odrębności tego kraju i o zupełnem bankructwie polityki „obiedinienia", prowadzonej w ciągu z górą stulecia z niesłychanym nakładem sił i środków. L.

Korespondencya „Nowej Reformy."

Warszawa, 28 sierpnia.

(Stan wyjątkowy. — Oblężenie fabryki. — Legitymacye)

Wczoraj objeżdżałem niemal całe miasto o godzinie 2 w nocy. Na ulicach, pomimo niedzieli, zawsze ruchliwej nawet o tej porze spóźnionej, — t y m r a z e m a n i ż y w e j d u s z y... Całą Warszawę zalega cisza śmiertelna, i miałem istotnie wrażenie, jakby to miasto, pełne życia i ruchu, nagle zamarło...

Dostrzegam tylko na wszystkich rogach grupy patrolujących żołnierzy w towarzystwie policyantów... Spoglądają na moją dorożkę ciekawie i mają taki wzrok, jakby zapytać chcieli, skąd mi się wzięło tyle odwagi, aby urządzać sobie nocne spacery?

Nic łatwiejszego, jak w takich warunkach być zabitym, lub w najlepszym razie — ograbionym, zasłynęli bowiem tutejsi żołnierze z nienasyconego apetytu na cudzą własność. Zaczepianie przechodniów na ulicach przez patrole odbywa się w dalszym ciągu.

Aresztowani przechodzą istne katusze, trzymają ich bowiem w cyrkułach po dwa dni, albowiem tyle czasu potrzebuje policya na sprawdzenie tożsamości osoby...

Ciekawe wiadomości dochodzą z oblężonej fabryki Bormana i Szwedego. Na szczycie fabryki tej, jak już doniosłem, ukazała się w nocy z czwartku na piątek, czerwona chorągiew. — Władze wojskowe, dostrzegłszy sztandar, osaczyły z samego rana fabrykę wojskiem i zamknęły ją, więżąc 600 robotników.

To oblężenie fabryki trwało do dnia dzisiejszego. Robotnicy więc więzieni byli w fabryce przez t r z y d n i. Przez cały ten czas trwania śledztwa, właściciele fabryki zmuszeni byli na własny koszt karmić robotników, żołnierzy i oficerów. Dla tych ostatnich przynoszono śniadania, obiady i kolacye z restauracyi Millera, pozostali zaś karmieni byli kuchnią fabryczną, którą trzeba było zbudować doraźnie.

Rezultat śledztwa jest taki, że kilkudziesięciu robotników, p o d e j r z a n y c h o udział w „manifestacyi" (defilowanie koło sztandaru z odkrytemi głowami) uwięziono, znaczną część robotników pochodzenia zamiejscowego odesłano do stałego miejsca zamieszkania, pozostałym zaś przywrócono swobodę.

Ponieważ tych ostatnich jest bardzo niewiele, przeto fabryka nie może być w ruch puszczoną...

Lecz to nie wszystko... Właściciele fabryki, w myśl instrukcyi ogłoszonych przez stan wojenny, zostali skazani na zapłacenie t y s i ą c a r u b l i k a r y...

A teraz policzmy: utrzymanie blisko tysiąca ludzi (robotnicy i załoga wojskowa) przez trzy dni, plus tysiąc rubli kary, nadto niemożność prowadzenia fabryki przez czas dłuższy — to znaczy: ciężka klęska materyalna dla właścicieli fabryki — za to tylko, że jednemu, czy paru robotnikom podobało się o świecie wywiesić na dachu fabrycznym chorągiew czerwoną...

Na oryginalny sposób wzięła się redakcya „Kuryera Porannego", chcąc zabezpieczyć współpracowników swoich przed atakowaniem ich podczas nocy ze strony patrolów wojskowych. Organ ten zaopatrzył wszystkich współpracowników w specyalne karty, wydrukowane po rosyjsku i głoszące, że p. X. X. jest współpracownikiem „Kuryera", pracuje w nocy i w nocy musi ukazywać się na mieście. *Z. Grot.*

Warszawa, 29 sierpnia.

(Raport departamentu policyi — Stan wojenny i bezpieczeństwo ludności. — Ustąpienie Maksymowicza)

Ogłoszone tu urzędowe sprawozdanie departamentu policyi w Petersburgu, mające jakoby usprawiedliwić fakt ogłoszenia stanu wojennego, ciężkiem oskarżeniem obciąża przedewszystkiem żydów. Tylko od czasu do czasu, jakby mimochodem, wskazuje sprawozdanie na chrześcijan, uczestniczących w dziele obalenia „istniejącego ustroju państwowego".

Wiemy dobrze, co to wszystko znaczy. Wiemy, że rząd rosyjski nie od dziś już czyni wszystko, co może, aby ludność chrześcijańską podburzyć do wrogiej postawy przeciwko żydom i tym sposobem zapewnić sobie samemu jaki taki spokój. I dla dopięcia tego celu nie przebierano w środkach. Puszczano pomiędzy masy ludowe sfory prowokatorów i agitatorów, jątrzono ludność chrześcijańską wszelkiemi środkami, jakie tylko mogły znaleźć się w rękach władz rosyjskich i rząd szczuł, tak długo jednych przeciwko drugim, aż doprowadził do pojedyńczych ruchów z charakterem przeciwżydowskim.

Zbyt jednak w ostatnich czasach zacisnął się węzeł solidarności robotników chrześcijańskich i żydowskich, by można było doprowadzić do masowego starcia w pośród tych dwóch żywiołów, to też władze tutejsze ze wstydem musiały od czasu do czasu raportować do Petersburga, że praca prowokacyjna nie udaje się jakoś w tym kierunku, że chrześcijanie nie chcą bić żydów...

Rząd petersburski wściekał się, widząc się bezsilnym. Wyczerpawszy wszystkie swe środki podżegające, rząd rosyjski w sprawozdaniu departamentu policyi, w żakowskiej już bezsilności, wskazuje raz jeszcze na żydów, pragnąc, aby ludność chrześcijańska wypłaciła im „porachunek" za te wszelkie przykrości, jakich zaznały z ich strony władze policyjne. Rząd rosyjski nadzwyczajnie pochlebia sobie, jeśli przypuszcza, iż my tu, w Królestwie Polskiem, nadajemy jakąkolwiek wagę jego wszelakim rozumowaniom, jeśli przypuszcza, iż my wierzymy mu choćby na chwilę. Po stokroć przekonaliśmy się, iż rząd kłamie, iż jego przyrzeczenia, obiecanki, ukazy, powstają jedynie na ruchomym gruncie naiwno-głupiej obłudy, która nawet prostaczka obałamucić już nie może, więc jakże śmieszną jest iluzya, że naród kulturalny nie pozna się od razu na takiej monecie?

To też nadzieje, jakie rząd petersburski pokłada w ostatniem sprawozdaniu departamentu policyi a skierowane wprost ku podburzaniu jednej ludności przeciwko drugiej, zawiodą go niewątpliwie tak, jak zawodziły wszystkie dotychczasowe.

Wczoraj zmarł w Warszawie zamożny kupiec z Nalewek, Daniel Landau. Zmarł po dwóch dniach ciężkich cierpień w skutek licznych ran, zadanych mu bagnetami przez żołnierzy na ulicy.

Landau, po ogłoszeniu stanu wojennego szedł sobie spokojnie ulicą i, na swoje nieszczęście, natknął się na patrol. Żołnierze, przeczuwszy, że Landau ma pieniądze, skłuli go bagnetami, poczem ograbili go z gotówki w ilości 1800 rb. i poszli sobie dalej...

Takie oto jest d o b r o d z i e j s t w o stanu wojennego w Warszawie, takie jest w tej chwili bezpieczeństwo mieszkańców tutejszych.

Zcichła armia nożowców, nie słychać jakoś o napadach zbrojnych ludzi złej woli, ale za to działać zaczęła a r m i a r o s y j s k a — no i cóż dziwnego, że przerażona ludność od godziny 9 wieczorem kryje się już po domach, że mało kto śmie po tej godzinie wyjrzeć na ulicę...

A „Warszawskij Dniewnik" zapewnia z całą bezczelnością, że stan wojenny jest dobrodziejstwem dla spokojnej ludności miasta... W uzupełnieniu powyższego dodaję, że aresztowania uliczne trwają w dalszym ciągu.

Przez cały dzień dzisiejszy utrzymuje się uporczywa pogłoska, iż generał-gubernator warszawski, Maksymowicz, ustępuje z zajmowanego stanowiska. Nie chce podobno piastować dłużej tego urzędu, bo... boi się! *Z. Grot.*

Sprawy polskie w prasie rosyjskiej.

W ostatnich czasach w prasie rosyjskiej zauważyć się daje znaczniejsze zainteresowanie ruchem politycznym w Królestwie i na Litwie. Większość tych uwag i artykułów odnosi się do reasumowania wrażenia, jakie w kraju „nadwiślańskim" wywołał ukaz konstytucyjny i do następstw tego wrażenia, które wywołało wrzenie i niezadowolenie w łonie wszystkich polskich partyj. Z głosów tych przytaczamy najbardziej miarodajne.

„Ruś", poruszając w jednym z ostatnich numerów sprawę ruchu rewolucyjnego w Warszawie, zaznacza, że ton w rozruchach nadają partye P. P. S. i Bund żydowski, lecz która z nich silniej agituje i której wpływ jest znaczniejszy „Ruś" nie jest w stanie ocenić. Jako motywy do silniejszej propagandy i wybuchu rewolucyjnego partye te — zdaniem redakcyi — starały się wyzyskać złe wrażenie, jakie wywarło w społeczeństwie polskiem odwleczenie ogłoszenia udziału Polaków w „Dumie państwowej". Na szczęście — pisze „Ruś" — sądząc z ostatnich wiadomości, ruch rewolucyjny nie rozwinął się bardzo i zamiast ogólnego bezrobocia zdarzały się tylko gdzie niegdzie cząstkowe strejki. Socyaliści byli górą na kolejach nadwiślańskich — tam był strejk. Na warszawsko-wiedeńskiej, kaliskiej i łódzkiej górą są narodowo-demokraci i kolej funkcyonowała.

„Ruś" podnosi rolę, jaką w walce partyjnej o wpływy nad robotnikiem odegrała silnie prowadzona i nieustająca akcya językowa. Służba kolejowa z nadzwyczajnym uporem broni swych praw używania języka polskiego, jako obowiązującego na kolei, i to było jedną z głównych przyczyn dlaczego kolej wiedeńska nie stanęła. Służba i urzędnicy kolejowi nie chcieli się przyłączyć do strejku, gdyż w ten sposób czasowo przerwanem byłoby praktyczne używanie języka polskiego, wprowadzonego i podtrzymywanego bez oficyalnej decyzyi władz.

Wobec zbliżającego się początku roku szkolnego „Ruś" zaznacza, że rozwiązanie kwestyi tej coraz jest bliższem spełnienia. W Królestwie Polskiem egzystuje 13 szkół handlowych, utrzymywanych zbiorowemi siłami osób prywotnych, które się na ten cel dobrowolnie opodatkowały. Szkoły te, mające dotychczas prawa szkół rządowych, tracą je z woli założycieli z chwilą zamienienia je w szkoły prywatne polskie z językiem wykładowym polskim (nauczyciele pozbawieni są praw do godności, orderów itd.). Polacy godzą się na to, uważając jednak za rzecz naturalną zachowanie prawa dobrowolnego opodatkowania się na rzecz tych szkół. — Obecnie w ministerstwie finansów, pod którego zarządem i opieką szkoły te dotychczas były, poglądy na tę sprawę podobno się podzieliły i większość jakoby uznaje za niemożliwe zachowanie szkołom tym prawa dobrowolnego opodatkowania się ludności na ich potrzeby. Polskie społeczeństwo — pisze „Ruś" — z tego powodu protestuje, uważając w środku tym jakąś dziwną karę za skorzystanie z prawa, które darowane zostało Polakom najwyższym manifestem.

„Prawitielstwiennyj Wiestnik" ogłasza ciekawą statystykę oświaty ludowej w gubernii warszawskiej. Szkół elementarnych i kantoratów jest 646. Uczy w nich 746 nauczycieli, w tem 78 prawosławnych. Pensya nauczyciela lub nauczycielki w jednoklasowej szkole wiejskiej, utrzymywanej przez gminy, wynosi 250 rubli rocznie; w szkołach, które otrzymują zasiłki rządowe, 300 rs.; w jednoklasowych miejskich 400 rs.; w dwuklasowych wiejskich od 220 do 330 rs.; w miejskich od 300 do 420 rs.; oprócz tego nauczyciele i nauczycielki otrzymują mieszkanie i opał. Liczba uczących się dzieci wynosi 40.688 (25.531 chłopców i 15.157 dziewcząt) i w porównaniu z rokiem 1904 powiększyła się o 6·8%. Na utrzymanie szkół początkowych i niedzielno-rzemieślniczych wydaje się rocznie 227.479 rubli, w czem mieści się 59.437 rs. zasiłku rządowego, resztę opłacają gminy i zarządy miasteczek. W szkołach niedzielno-rzemieślniczych kształci się 1077 chłopców; nauczycieli jest 25. W szkołach tych skończyło kurs 222, czyli 20·7%, opuściło szkołę 240 uczniów, czyli 22·3%. Prywatnych zakładów było w gubernii oprócz Warszawy 80, a w nich uczyło się 2316 chłopców i 3478 dziewcząt. W siedmiu żydowskich szkołach rządowych było 69 chłopców, 170 dziewcząt i 8 nauczycieli.

„Nowoje Wremia" pomieszcza korespondencyę ze wsi polskiej, malującą nastrój włościaństwa polskiego, wywołany ogłoszeniem manifestu o Dumie państwowej. Korespondent przytacza, jako charakterystyczną rzecz, wielką nieufność, z jaką włościaństwo odnosi się do możliwości przeprowadzenia wyborów w Polsce. Większość włościan polskich — przyznaje korespondent — wykazuje wysokie uspołecznienie, znajomość potrzeb i praw, a w ostatnich czasach daje się jeszcze zauważyć silna akcya agitacyjna za rozszerzeniem praw gminy lub ich zawarowaniem wobec samowoli urzędniczej. — W wielu wsiach odbywają się wiece i mityngi, na których włościanie z wielką znajomością rzeczy omawiają swe potrzeby. Ciekawie zapatrują się włościanie na sprawę wyborów. Kiedy korespondent zapytał ich, kogo też do Dumy wybiorą — „A to już nasza sprawa — odpowiedzieli. — W każdej wsi posiadamy dosyć wykształconych ludzi, niech tylko pozwolą nam ich swobodnie wybrać". — Z tonu ich przemówienia widocznem było, że się obawiają postronnego wmieszania się władzy, a w szczególności najbliższego zarządu (naczelników ziemskich, komisarzy włościańskich i żandarmów. Przyp. Red.). Najwięcej wagi i nadziei przykłada lud do prawa kontroli nad wydatkami gminy, dostosowania ziemstwa do potrzeb miejscowych, usunięcia krzywd i nadużyć władz, a wreszcie zniesienia bezprawnie i dowolnie wymierzanych podatków.

Szkoła polska w Brazylii.

Parana, w sierpniu.

Z radością chwytam za pióro, aby donieść krajowi o bardzo doniosłym fakcie, który z pewnością będzie miał poważny wpływ na rozwój oświaty ludowej polskiej tu, zdala od kraju, od ojczyzny. Zawiązane przed rokiem Towarzystwo „Szkoły ludowej" uzyskało od rządu brazylijskiego subwencyę w kwocie dwóch tysięcy milrajsów rocznie. Pomijając już znaczenie materyalne tej subwencyi, rzuca się w oczy znaczenie polityczne tego faktu: żywioł polski w Paranie, który mimo swej większości liczebnej nad innemi narodowościami zamieszkałemi w Paranie, był dotychczas kopciuszkiem, dziś zaczyna nabierać znaczenia, interesują się nim w sferach rządowych. Rzecz to nieposledniej wagi. Oto ten lud polski stanowi jedną trzecią całego zaludnienia Parany, to znaczy, że więcej tu nas jest, niż samych Brazylian, a mimo to nie zdołał tu zająć takiego stanowiska, jak nawet Włosi, których jest tu prawie dziesięć razy mniej. Oświata zaczyna już swymi dobroczynnymi promieniami pobudzać do życia tutejszych Polaków, jako odrębną narodowość. Bo do tej pory słyszało się, że ten i ów mówił, że ten, a ten „Polacco" jest dobrym rzemieślnikiem, dobrym służącym, ale nigdy, jak o ludziach, którzy tu mają dobrze zorganizowane już partye, stowarzyszenia i t. p. Dziś widzą Brazylianie, że „Polacco" — to człowiek, z którym trzeba się już liczyć, jako z człowiekiem o innej kulturze, innym języku, który kiedyś może mieć będzie takie znaczenie w Paranie, jakie dziś mają Niemcy w S-ta Catharinie.

„Szkołę ludową" założył przed rokiem p. Kazimierz Warchałowski, młody, energiczny redaktor i wydawca „Polaka" w Brazylii. Skłoniło go do tego wrażenie nędzy i anemii tutejszego szkolnictwa polskiego. Do tej nędzy przyczyniają się w kapitalnie znacznej części księża. Jasne to i zrozumiałe, że księża, którzy tu przyjeżdżają z Europy, sami mało oświeceni, nie lubią oświaty, bo oświata otwiera oczy, a chłop taki z zamkniętemi oczami jest „łatwiejszy do prowadzenia". Przytem księża, którzy tu przyjeżdżają, to przeważnie ludzie, którzy „musieli" wyjechać z Europy. P. Warchałowski jednocześnie z Towarzystwem otworzył szkółkę w Kurytyble, w której do tej pory utrzymywał swoim kosztem nauczyciela, aby przysporzyć jak najwięcej kapitału temu pożytecznemu Towarzystwu. Dziś w kasie jest już 2000 milr., co, jak na tutejsze stosunki i krótki czas istnienia Towarzystwa, jest pocieszającym objawem. Byłem niedawno na popisie szkółki, który wykazał, że dzieci wiele korzystają z tej bezpłatnej nauki, a także, że na tak wielką liczbę dzieci jeden nauczyciel i jeden lokal za mało. Dziś rozstrzygnęła się kwestya subwencyi stałej od rządu, wobec czego Towarzystwo „Szkoły ludowej" otworzyło drugi oddział szkółki, w której wykładane będą oprócz religii, polskiego, rachunków — kaligrafia, język portugalski, historya polska. Nadto Towarzystwo „Szkoły ludowej" na kolonii Arankaryi pozyskało grunt pod szkołę wielkości 4 alkry (alkier trochę więcej, jak 4 morgi), z których jeden już ogrodzony starannie czeka na rozpoczęcie budowy szkoły, oraz przyjazd fachowego nauczyciela, którego sprowadzają z Królestwa Polskiego.

Z powyższego widać, że Towarzystwo „Szkoły ludowej" rozwija się tu bardzo pomyślnie, pomimo przeszkód stawianych przez ludzi złej woli, starających się wszystkiemi siłami już to odciągnąć ludzi od oświaty ofiarowywanej im przez Towarzystwo, już to osłabić znaczenie tej ze wszech miar poważnej i godnej poparcia instytucyi. Rozgłaszają mianowicie niedorzeczne wieści, że szkoły te są cheretyckie, massońskie i t. p.

„Szkoła ludowa" jest dziś jedynem polskiem towarzystwem w Paranie, jako instytucya, już zaregestrowana i mająca swoją własną hypotekę. M.

Przeciwko drożyźnie mięsa.

Cechą stosunków ekonomicznych w ostatnich kilkunastu, a nawet kilku latach, jest ogromne podrożenie wszystkich prawie potrzeb życia, począwszy od pomieszkania i opału, a skończywszy na obsłudze. Ponieważ równocześnie żadna z warstw ludności nie może pochwalić się zwiększonemi dochodami, więc podrożenie nawet nieznaczne jakiejkolwiek potrzeby życia spada podwójnym ciężarem na konsumentów, którzy zmuszeni są ograniczać swoje wydatki z krzywdą dla zdrowia.

W ostatnich tygodniach podrożało znowu mięso i to w stosunku tak rażącym, że tym razem publiczność z całą energią domaga się zaradzenia tym giełdowym skokom cen artykułu, którego konsumcya u nas nigdy nie dosięgła poziomu, zalecanego przez hygienę. Mięso podrożało we wszystkich krajach, należących do Austryi, a także i w Rzeszy niemieckiej. Najsilniej poszły w górę ceny mięsa K r a k o w i e, L w o w i e i W i e d n i u i w tych miastach ludność słusznie utyskuje na drożyznę, żądając od władz autonomicznych i rządowych, ażeby przedsięwzięły środki zaradcze.

Ani w Krakowie, ani we Lwowie powołane do tego czynniki nie zdołały jeszcze wdrożyć w tej sprawie skutecznej akcyi, natomiast magistrat miasta Wiednia poczynił już pierwsze w tym kierunku kroki i osiągnął pomyślne rezultaty. Ponieważ stosunki wiedeńskie są pod względem wyrębu i sprzedaży mięsa zbliżone do krakowskich, a dla rzeźników tamtejszych wcale nie korzystniejsze, więc akcya magistratu wiedeńskiego zasługuje na bardziej szczegółowe omówienie.

Otóż gmina miasta Wiednia w porozumieniu z tak zwaną wielką rzeźnią (Grosschlaechterei) otworzyła w trzech dzielnicach miasta, a mianowicie w Brigittenau, Favoriten i Ottakring po jednej jatce miejskiej, a wkrótce powstaną i w innych dziel-

Ze stołu redakcyjnego.

K. O s t a s z e w s k i - B a r a ń s k i: „Z dorzecza Wełtawy". Lwów, 1905.

Q u i s: „Tysiąc kilometrów samochodem". (Z wrażeń felietonisty). Warszawa, 1905. — Jan Fischer.

Nasza literatura podróżnicza jest w stosunku do innych działów piśmiennictwa bardzo uboga. Pomimo, że jesteśmy narodem, który najwięcej podróżuje, mało jest u nas ludzi posiadających talent zręcznego chwytania wrażeń podróżnych i utrwalania ich w książkach. — Ostatni jednak dziesiątek lat zaznaczył się u nas żywszym w tej dziedzinie ruchem. Od pojawienia się pięknej książki St. Tarnowskiego „Z wakacyj", dopiero publikacye ruchliwego podróżnika Stanisława Bełzy zaczęły wzbogacać nasz rodzimy dorobek literatury podróżniczej, trwalszej wartości przyczynkami. Wcześniej jeszcze od Bełzy stanął w szeregu podróżników-pisarzy p. Kazimierz Ostaszewski-Barański („Z okien wagonu". Lwów 1884), którego dwie w ostatnich czasach wydane książki do najlepszych wydawnictw tego rodzaju zaliczyć trzeba. O jednej z nich opisującej krainę Słowieńców („Z nad Drawy, Sawy i Soczy", Lwów 1904) pisaliśmy po jej ukazaniu się w roku zeszłym, druga wyszła przed dwoma miesiącami i nosi tytuł „Z dorzecza Wełtawy".

O Czechach mówi się u nas i pisze bardzo wiele, ale ze skruchą i żalem przyznać się musimy, że ich mało znamy. Daleko mniej ich nawet znamy, aniżeli oni nas i stąd płynie wiele nieporozumień. Podczas gdy każdy wykształcony Czech zna dobrze kraj nasz, naszą historyę i literaturę, iluż Polaków powiedzieć o sobie może, że znają Czechy i Czechów? Ten i ów był w Pradze lub Pilźnie przejazdem, ogół zaś zna Czechy z okien wagonu i z kilkutygodniowego pobytu w Karolowych lub Maryańskich warach. Na tem zaniedbaniu sami źle wychodzimy, bo Czechy to kraj, skąd wiele nauki i doświadczenia, skąd nie mało wzorów praktycznego życia moglibyśmy zaczerpnąć. Prześcignęli nas dawno Czesi w dziedzinie życia gospodarczego i w polityce, a szybki wzrost i rozwój kraju swego zawdzięczają tym właśnie przymiotom, których nam najwięcej brakuje: wytrwałości, pracowitości i temu politycznemu egoizmowi, który im dyktuje bezwzględne wyzyskiwanie każdej sytuacyi na swoją korzyść.

Książka p. Ostaszewskiego-Barańskiego, owoc kilkakrotnie podejmowanej podróży do Czech, pojawia się z tego względu bardzo na czasie. Autor należy do tych podróżników, którzy umią obserwować, widzą wszystko i chwytają w lot różnicę między stosunkami obserwowanego kraju a swojej ojczyzny.

Wielki podkład erudycyi, doskonała znajomość literatury i historyi czeskiej są dlań najlepszymi sprzymierzeńcami w spisywaniu podróżnych wrażeń, w formułowaniu wniosków i rad. A mimo naukowego i kulturalnego podkładu, książka ta czyta się bardzo przyjemnie i lekko. Autor traktuje przedmiot bardzo ciepło i sympatycznie. Opisuje kraj, ludzi, zabytki i kulturę w sposób felietonowy, mimochodem. Notując wrażenie w danem mieście, potrąca o wypadki dziejowe, podkreślane to barwnym epizodem, to anegdotą, to życiorysem sławnego pisarza lub urywkiem jakiego utworu i daje obraz pełny, utrwalający się w pamięci czytelnika.

Rozpoczyna oczywiście od Pragi. Był w niej kilkakrotnie, ale najsilniejsze na nim uczyniła wrażenie podczas uroczystości Palackyego w r. 1898. Wówczas uderzyło go najbardziej to niespotykane gdzieindziej przywiązanie Czechów do swej złotej stolicy. „Praga jest głową i sercem całej czeskiej ziemi, każde jej hasło rozlega się echem od jednego krańca kraju do drugiego, biegnie nawet przez Ocean i budzi Czechów na ziemi nowego świata. Każde jej drgnienie elektryzuje miliony, na nią są zwrócone wszystkie oczy z dumą i oczekiwaniem. Jak do Mekki prawowierny Mahometanin, tak Czech tęskni do Pragi, którą chce widzieć choć raz w życiu, gdziekolwiekby go los rzucił. Praga jest stolicą nie dlatego, że ją stolicą uczyniono, ale dlatego, że ją cały lud czeski za swą metropolię uważa i uznaje".

Opis Pragi, barwny, błyskotliwy, zajmujący, krasi autor zręcznem wplataniem opowieści dziejowych, zawsze nawiązywanych do historyi naszej. Z tych częstych przypomnień wzajemnych Polski z Czechami stosunków, od zagonów Chrobrego począwszy a na pretendencie Rożemberku z Trzeboni, który chciał być królem polskim po śmierci ostatniego Jagiellona skończywszy, snuje autor całe pasmo wspomnień, stwierdzających wspólność interesów i częste a trwałe Polski z Czechami stosunki. — Opis Taboru daje mu sposobność do treściwego przypomnienia dziejów tego miasta, wskrzeszenia z pyłu dziejowego postaci Husa i Żyżki, Prokopa i Hieronima z Pragi. — Gdy mówi o pięknym Karlsteinie, opowiada cudną legendę o tym zamku i skarbach w nim przechowywanych.

Podobnie jak książka o Krainie, tak i „Z dorzecza Wełtawy" jest opisem, podjętym przy sposobności pobytu na dorocznym zjeździe dziennikarzy słowiańskich. Zjazd taki odbył się w r. 1903 w Pilznie. Opis tegoż i charakterystyka zewnętrznej jego fizyognomii nader trafna, zajmuje autorowi sporo miejsca, dając sposobność do zaznaczenia szeregu zasadniczych spostrzeżeń i uwag. Nie szczędząc, gdzie tego potrzeba wymagała, gorących słów podziwu i uznania dla pobratymców czeskich, podnosi też dr Ostaszewski-Barański z uznania godną szczerością najdrażliwszą zjazdów tych stronę, t. j. ową na każdym kroku objawiającą się nieufność Czechów i innych Słowian do Polaków, nieufność, mającą swe źródło w odmiennych dążeniach i sympatyach ludów słowiańskich, zwracających swe tęsknoty do Rosyi, a Polaków, odwracających się od niej. Gorzkie słowa prawdy, jakie autor już nie jako podróżnik, ale jako publicysta polski, powołany do zabrania głosu w tej drażliwej sprawie, rzuca, są zupełnie usprawiedliwione. Gorąco przyklasnąć można drowi Ostaszewskiemu, gdy mówi, że „w gronie przedstawicieli ludów słowiańskich, przybywających na zjazdy słowiańskie, my jesteśmy na szarym końcu czeskich sympatyj. Oni się z nami liczą, ale nas nie lubią, patrzą na nas podejrzliwie i nieufnie. Ich uczucia słowiańskie są tak silne, że nie mogą, czy nie chcą zrozumieć naszych krzywd wiekowych, naszych bolów serdecznych, że zatykają uszy, gdy się mówi o Sybirze, szubienicach, lub gorszych jeszcze od nich, dzisiejszych szkołach rosyjskich, trujących ducha narodu!" Ten objaw powtarza się stale.

Wycieczka do kresowego miasta Domażlice i Czeskich Kubic, najdalej w Europie na zachód wysuniętej placówki słowiańskiej, kędy rozsiedli się Chodowie, potomkowie jeńców polskich, osadzonych tu jeszcze w XI wieku przez Brzetysława, daje autorowi sposobność do przypomnienia jednego z najpiękniejszych dziejowych epizodów Czech, t. j. bohaterskiej walki dzielnego szczepu Chodów z niemieckimi ciemięzcami. Męczeńska śmierć ich sołtysa Koziny, wiążąca się z legendą o srodze doraźnie ukaranym przez Opatrzność ich ciemięzcy Lemingerze, przypomina nastrojem walkę Tella z Gesslerem. — W stołecznem mieście ziemi Chodów, w Domażlicach, piękne muzeum przechowuje po dziś dzień pamiątki, wiążące się z dziejami bohaterskich zapasów Chodów z odwiecznym wrogiem na kresach słowiańszczyzny.

W zakresie literatury podróżniczej nie wiele znaleśćby można książek, któreby pod względem metody opowiadania, barwności słowa, bogactwa informacyj i szczerości więcej odpowiadały warunkom tego rodzaju literatury, jak książka „Z dorzecza Wełtawy". — Odczytać ją można jednym tchem, jako utwór zajmujący, pouczający i wartościowy, jako podręcznik informacyjny do podróży po Czechach, który każdego wybierającego się w drogę do pięknej krainy czeskiej przygotuje w sposób najwłaściwszy do jej poznania i umiłowania. Jako dokument sympatyj autora dla pobratymców z nad Wełtawy książka ta jest częściowem spłaceniem długu, jaki piśmiennictwo nasze zaciągnęło wobec literatury czeskiej, wykazującej rok rocznie wzmagający się przyrost publikacyj, o rzeczach polskich traktujących.

Pośrednio tylko do literatury podróżniczej zaliczyć można małą książeczkę Quisa, zatytułowaną „Z wrażeń felietonisty", czyli „Tysiąc kilometrów samochodem". Zdaje się, że jest to pierwszy utwór, wprowadzający urzędownie do piśmiennictwa i do opisów podróżnych samochód, jako czynnik zmieniający zupełnie widnokrąg obserwacyj podróżnika. Nie ulega wątpliwości, że inaczej grupowały się wrażenia podróżującemu przed laty dyliżansem, aniżeli jadącemu koleją. Dziś sport automobilowy otwiera nowe pole widzenia swoim zwolennikom, odsłaniając na nieutartych szlakach nowe szeregi wrażeń nieznanych dawniejszemu pokoleniu.

P. Quis skorzystał z oferty bogatego przyjaciela, który mu zaproponował podróż z Paryża do Karlsbadu samochodem, pod warunkiem, że po skończonej podróży napisze cykl felietonów, streszczających obserwacye automobilisty. Wywiązując się z obowiązku, opisał więc tę podróż z właściwym sobie wdziękiem i nonszalancyą. A że jest urodzonym felietonistą, że posiada dar bardzo przyjemnego gawędzenia, więc i ten opis pod piórem jego nabiera ożywienia. Z błyskawicznym pośpiechem zastosowanym do tempa maszyny, autor przelatuje cały szlak drogi, ten sam, którym Prusacy cofali się w powrocie z pod Paryża w r. 1871. Zwiedzanie miast i miejscowości w Alzacyi, upamiętnionych rozlewem krwi, pogromem jednych a zwycięstwami drugich, daje mu sposobność do wielu barwnych i zajmujących dygresyj historyczno-kulturalnych, z których przebija znajomość świata i ludzi, znajomość historyi i talent do zręcznego prześlizgiwania się po wszelkich tematach historyczno-filozoficznych. Salonowy causeur, jakim jest Quis, w tej wdzięcznej formie opowiadania, znalazł właściwe pole dla swych wynurzeń, spisanych jakby od niechcenia w chwili wypoczynku, a mimo to szczerze zajmujących.

W. Pr.

L. 80103/905 2943 3 3
B.

Ogłoszenie.

Magistrat stoł. król. miasta Krakowa rozpisuje licytacyę ofertową na roboty:
I. ziemne, murarskie i pomocnicze,
II. ciesielskie,
III. kamieniarskie,
IV. blacharskie,
V. dekarskie,
VI. kowalskie (dostawę ankier).
Do budowy 2-ch szkół mianowicie:
Szkoły wydz. przy ul. Kapucyńskiej i
„ posp. „ „ Loretańskiej.

Warunki ogólne i szczegółowe przejrzeć można w biurze architekty miejs. (ul. Basztowa 27, II p.), gdzie również otrzymać można formularze i wzór oferty.

Otwarcie ofert nastąpi **dnia 4 września 1905 o godzinie 12 w południe** w Budownictwie miejskiem.

Kraków, dnia 22. sierpnia 1905.

Prezydent miasta:
w z. **Chyliński.**

Z Drukarni Literackiej w Krakowie, ul. Jagiellońska 10. — Rządca Drukarni L. K. Górski.